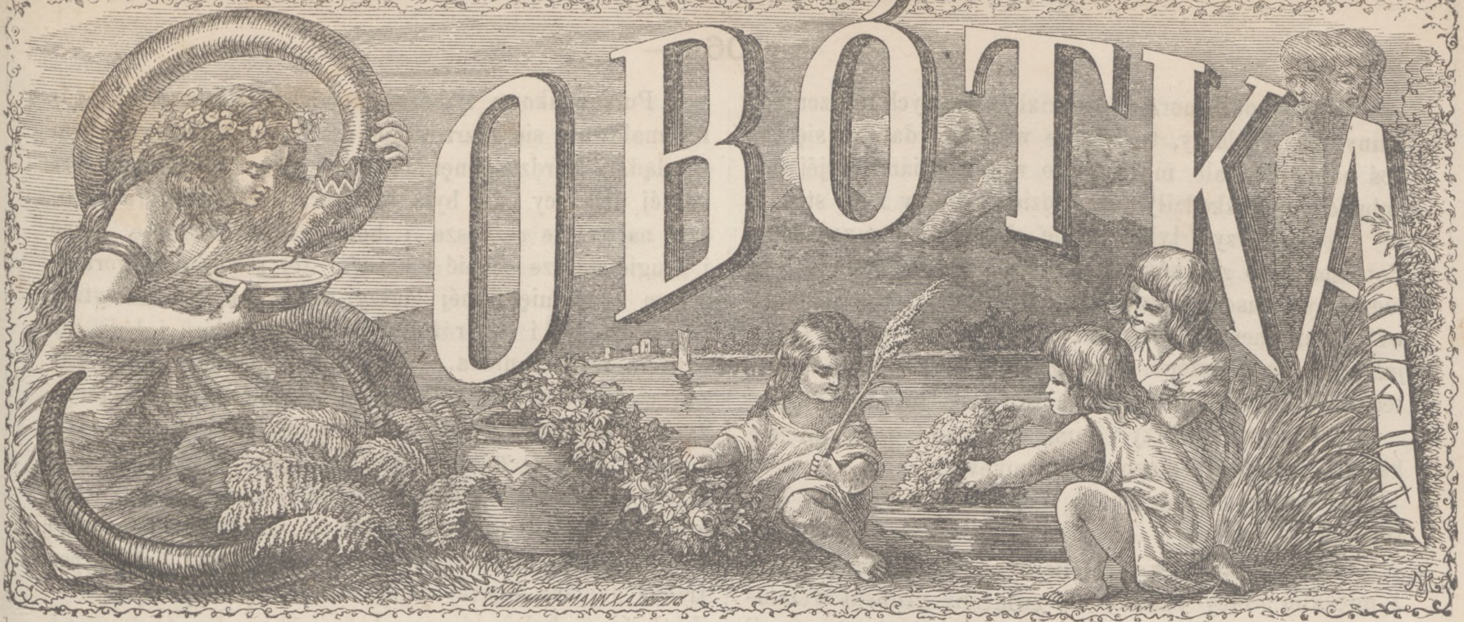


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 14. Poznań, dnia 2 kwietnia 1870. Rok II.

Od Redakcyi.

Przy nadchodzącym drugim kwartale, upraszamy Szanownych abonentów S o b ó t k i o odnowienie przedpłaty na kwartał przyszły i życzliwe popieranie naszego pisma.

Milion na poddaszu,

Obrazek z niedawnéj przeszłości

przez

Jana Zacharjasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

Najprzód całe zajście z szambelanową stało mu jeszcze żywo przed oczyma. Widział ją biedną, strasznie biedną. Kto sobie sam na straganie wiktuały kupuje, ten musi być mocno biednym... Ubóstwo jéj nie da się długo ukryć. Jeżeli przed tem coś z sobą nie zrobi, to już nadzieja dla niego stracona!... Do tego powiedziała mu szambelanowa takie słowa, jakich jeszcze sam przed sobą po cichu nie wymówił. Powiedziała mu że jest biedny, i że dobrze jeszcze, iż ma cały kubrak na grzbiecie. Powiedziała mu daléj, że umrzeć może pod cudzym płotem...

Wszystko to były tylko proste figury mówienia, ale zawsze sens ich był straszny. Rzecz nazwana po nazwisku, sprawia zawsze silne wrażenie. Nigdy jeszcze ubóstwo jego nie było mu tak dotkliwem, tak zastraszającém! Odbierało mu nawet odwagę tam, gdzie przed kilkoma dniami uśmiechało mu się tak łatwe zwycięstwo!...

Przypomniał sobie swoje marzenia o wojewodziance, o marszałkównéj... o jakie niedorzeczne mu się one dzisiaj wydały, gdy świat się dziwi, że on ma jeszcze cały kubrak na grzbiecie? Jakże to sięgnąć wyżéj marzeniem, gdy inni myślą, że podobni ludzie pod cudzym płotem umierają?... Czemże może zrównoważyć ubóstwo swoje? Nażwisko? Z tem nazwiskiem obnosi się już wiele lat, jakiż z tego skutek? Obiadek, kolacyjka i nic więcéj!

Takie myśli bolesne zdenerwowały go. Z wysokości marzeń i projektów spadł nagle do zupełnego zwątpienia. Z jednéj ostateczności popadł w drugą. Nieszczęście swoje widział nieuleczone, żadnego na nie środka nie znał.

Prócz tego zaszło zdarzenie z tą nieszczęsną marchwią, jakby przez samego szatana wymyślone. Największy jego nieprzyjaciel nie byłby nic gorszego dla niego wymyślił. To ostatecznie groziło go zgubić...

Aby się jakoś wyratować, wymyślił wiadomość o milionie. Na razie był to nie zły środek. Odwrócił on wszyskich i odciągnął od marchwi. Milion przykrył marchew i futrzaną czapkę szambelanowéj, bo milion zwykł wiele, bardzo wiele przykrywać. Ale czy to na długo? Czy nie wyjdzie na wierzch całe jego kłamstwo w największéj ohydzie?...

Gdy podkomorzyc o skutkach tego kłamstwa pomyślał, robiło mu się zimno. Świat wielki nie tylko śmiesznością go okryje, ale nawet uważać będzie za straconego. Jakaż więc przyszłość jego najbliższa?...

Gdyby podkomorzyc wiedział o skrytych marzeniach Aliny lub Adelaidy, to jeszcze wszystko dałoby się jakoś naprawić, ale marzenia o wojewodziance i jéj podobnych, przeszkodziły mu widzieć sygnały z téj strony!

Podkomorzyc tylko jednę drogę miał przed sobą. Potrzeba było zniknąć na niejakiś czas ze stolicy, aby ludzie tymczasem o marchwi, a może i o szambelanowéj z milionem zapomnieli. W tym celu nawet rzucił już myśl na wieczorze o pojechaniu do Londynu w interesie tego miliona... ale na to trzeba także pieniędzy!

Kiedy podkomorzyc temi smutnemi myślami się karmił, wyszła do niego pułkownikowa.

Obiecała okazać mu się aniołem, i w istocie dotrzymała słowa!

Była ubrana w prześlicznym negliżyku. Biały z miękkiéj wełny szlafroczek związany grubym wełnianym sznurem, czynił ją podobną do westalki, strzegącéj wieczny ogień. Na głowie zatrzymała dawną fryzurę.

Tylko na drobnych nóżkach zamiast trzewiczków z czerwonemi korkami, błyszczały teraz złotem haftowane pantofelki.

— Ach te suknie nasze są nieznośne, rzekła do podkomorzyca, nie weźmiesz mi pan za złe, że się wygodniéj przebrałam?

— Pani jesteś panią w swoim domu, odparł krótko podkomorzyc.

— Nie zapominaj więc pan, żeś mi winien we wszyskiem posłuszeństwo!

Mówiąc to podeszła zgrabnie do niego, wzięła go za rękę i pociągnęła do kanapy, na któréj oboje usiedli.

— Czy pan jeszcze ciekawym jesteś, zapytała pieszczonym głosikiem, czy jeszcze myślisz o tém, czem pana zaciekawiłam u wojewodziny?... Nie, nie wierzę, aby ciekawość pana silniejszą była od obecności...

— Może to zmartwi panią, odparł chłodno podkomorzyc, jednak słowa, któreś pani wyrzekła do mnie u wojewodziny...

— Budzą w panu tyle ciekawości, przerwała żywo pułkownikowa, że gotów jesteś wyrządzić mi największe zmartwienie...

— Wszak to od pani zależy dokończyć, choć kilkoma słowy przerwaną rozmowę...

— Nie panie. Mnie zależy obecnie na tém, aby pana niczém a niczém nie martwić. W tym względzie jestem lepszą od pana...

— Więc sądzi pani, żeby mnie to zmartwiło, smutno odparł podkomorzyc, i to jest już niejako dokończeniem.

— Czy pan sądzisz, że mogłoby być inaczéj?... Zazdroszczę panu téj naiwnéj wiary w świat i ludzi! Ta wiara może być dobrą, gdy się ma lat kilkanaście, gdy wszystko w koło nas oddycha wonią kwiatów, gdy serce rusza się i marzy...

Tu cofnęła się pułkownikowa w kąt kanapy i białą rączką zakryła oczy. Jéj pierś podnosiła się i spadała jak fala.

Podkomorzyc spojrzał smutno przed siebie. Słowa szambelanowéj splątały się jakoś dziwnie z tém, co pułkownikowa w półsłówkach mówiła. Mógł to być jeden z gorzkich jego zawodów. Westchnął i posunął ręką po czole.

Pułkownikowa tymczasem odsłoniła twarz, na któréj malowało się rozrzewnienie. Z tém rozrzewnieniem wyglądała bardzo ponętnie. Nie była to idealna twarz naszéj dziewicy, ale była to twarz kobiety, która przeszła najwyższe rozkosze i boleść życia, i umie jedno i drugie dobrze ocenić i uczuć. Jéj piwne oczy gorzały żarem roznamiętnionéj duszy, która chciwie chwytała za każdy szał i bez różnicy czy on rożdziera i boli, czy otwiera rozkosz nieba... byle tylko sprzedać drogo każdą chwilę, każdą cząstkę tego, tak prędko ubiegającego życia... ostatnich wybłysków młodości!..

— Wierzaj mi pan, ozwała się, ściskając konwulsyjnie jego rękę, umiem ja pojąć i zrozumieć to, czego świat powszedni nie widzi, ani się domyśla! Dla niego potrzeba dopiero łez i spazmów, aby poznał boleść, potrzeba dopiero najętéj muzyki weselnéj, aby się dowiedział że ci ludzie się weselą!... Tragedye i dramata, jakie przebywamy wewnątrz siebie, w licznem, obojętném towarzystwie, a częstokroć nawet z śmiechem na ustach, tego świat powszedni nigdy nie widzi!...

Słowa te dziwnie stosowały się do obecnego usposobienia podkomorzyca. Wygłoszone w formach ogólnych, rozkładały się w jego duszy na odpowiednie jego myślom szczególiki. Widział w nich prawdę, wielką prawdę. Pułkownikowa szczebiotała daléj:

— Wy lubicie zazwyczaj młode dziewczątka o naiwnem spojrzeniu, które dopiero zaczynają się uczyć abecadła życia. Nie rozumiem co w téj nauce jest ponętnego. Każda nauka nudzi, chociażby pedagogowie co innego twierdzili!... Wierzaj mi pan, ta nauka nie jest dla tego, który uczy, ale dla innych! Gdy kobieta całą pełnią życia żyć zaczyna, może mieć wprawdzie jakąś wdzięczność dla byłego nauczyciela swego, ale nie będzie miała dla niego tego porywu uczucia, jaki zazwyczaj ma się ku temu, który w téj pełni życia w drodze jéj stanie... Cóż ona wtedy temu winna, że jéj serce wybiega z granic przyzwolonych. Wierzaj mi pan to uczucie jest najprawdziwsze i najmocniejsze! Pierwszy bowiem przyszedł do niéj, a drugiego sama sobie znalazła!... To co przychodzi do nas przyjmujemy, bo tak zwyczaj każe, ale co sami sobie wyszukamy, znajdziemy...

Podkomorzyc spojrzał na mówiącą i spotkał się z jéj piwnemi, rozmarzonemi oczyma. Oczy te wyraźnie spoczywały na nim z namiętnością bez granic i zdawały się mu mówić, że jest owym wyszukanym, znalezionym...

Uśmiechnął się dosyć obojętnie. Widać że ani spojrzenia ani słowa nie sprawiły pożądanego skutku.

— Teorya życia, ozwał się po chwili, jaką pani wygłaszasz, jest zawsze trochę kłopotliwa!

— Wiem co pan chcesz tem powiedzieć, żywo przerwała pułkownikowa, sądzisz pan, że teorya ta pozwala na zmiany bez końca. Ale w tym względzie wyrządzasz pan niesłuszność téj teoryi. Zważ pan tylko, że kobiecie dano bierne stanowisko w towarzystwie. Jéj wzbroniona jest wszelka inicyatywa pod zagrożeniem klątwy! Więc siedzi cierpliwie z rękoma w małdrzyk złożonemi i czeka na tego, kto się do niéj zbliżyć raczy... A przyznasz pan, że są ludzie źli i przewrotni. Zbliżają się oni do kobiety z myślą naprzód powziętą. Mówią jednak jak aniołowie, udają świętych, dobrych

i poczciwych, okazują rany zadane. które tylko wzajemnością zgoić się mogą... i cóż dziwnego, że kobieta, która zazwyczaj więcéj ma serca niżeli głowy, uwierzy tym słowom?

Podkomorzyc patrzał na dywan turecki. Pułkownikowa mówiła prawdę, bo i on nie raz używał słów, z których śmiał się skrycie i zwyciężał. Liczył nawet w duchu ofiary i kto wie kto był z nich lepszym... on czy ona?

Ale te myśli były myślami oderwanemi. Nie odnosiły się one w téj chwili do jego przyszłości.

— Pani rzucasz nam rękawicę! rzekł dosyć spokojnie idąc oczyma za arabeskiem na dywanie.

— Nie panie, przerwała pułkownikowa, rękawicy panom nie rzucam, bo jesteście w prawie swojem. Jeżeli wam we wszystkiem dana jest inicyatywa, to nasza bierność powinna mieć gloryę bohaterskiego męczeństwa! Tem jesteśmy wyższe od was, i tem zawsze was zwyciężamy, chociaż wy tego nie widzicie nawet!

Podkomorzyc spojrzał ciekawie na pułkownikowę. Taką jéj jeszcze nie znał. Po za jéj płochością i lekkomyślnością odsłaniała się jakaś poważniejsza strona życia, jakiéj pierwéj nie widział. Zaczęło go to intrygować.

— Męczeństwo kobiet, ozwał się po chwili, mogłoby być dobrem wtedy, gdyby kobiety zmartwychwstawać umiały!

Rozśmiała się szydersko pułkownikowa, położyła jedną rękę na stoliku a drugą wzniosła do góry i rzekła:

— To jest wasz przesąd tylko i nic więcéj: Wierzaj mi pan, kobieta po swoim upadku, spowodowanym przez zbieg różnych okoliczności, może się podnieść tak wysoko, jak żadna bohaterka wyniosłą postacią swoją nie sięga! Ręczę panu, gdyby aniołowie w niebie rekrutowali się z kobiet na ziemi, to takie kobiety pomnażałyby najprędzéj ich zastępy!

I w téj chwili rzeczywiście była pułkownikowa mimo bielidła i różu więcéj podobna do anioła, niżeli ziemskiéj istoty, która przed godziną była na wieczorku u pani wojewodziny. Jéj oczy iskrzyły się jak dwa wielkie ogniska, twarz nabrała tak pięknego wyrazu, że bielidło i róż wyglądał na niéj niepotrzebną plamą, a jéj łabędzia szyja, po któréj drgały sine prążki, jaśniała tak świetlaną aureolą, jakby gdzieś za nią było zachodzące słońce. Te wdzięki anielskie podnosiła jeszcze biała szata o wielkich fałdach, przyczem także i złotem haftowany pantofelek miał kształt sandałów, używanych zazwyczaj przez mieszkańców nieba. Niczego więc nie brakowało, jak tych kilku złotych piórek u ramion, które mają stanowić cechę anioła!

Twarz podkomorzyca ożywiła się na tę metamorfozę pułkownikowéj. Był to zawsze obraz ładny i ponętny. W konwencyonalnym salonie, z rogówką i trzewiczkami na korkach trudno o taki piękny widok.

Podkomorzyc długi czas patrzał na pułkownikowę. Zdawało się, że chciał się przekonać, czy słowa jéj o zmartwychwstających kobietach, są prawdziwe... I w saméj rzeczy pułkownikowa była w téj chwili ideałem kobiety!

Złożyła ręce jakby do modlitwy, podniosła duże, łzami błyszczące oczy do nieba i zawołała:

— Bóg, który patrzy na walkę biednéj kobiety, walkę o ten ideał, którego przeczucie wlał w jéj serce. Bóg inaczéj będzie ją sądzić, niżeli sądzi świat powszedni! On wie sam jeden, z jaką ofiarą przychodzi jéj szukać tego ideału na ziemi, ile razy potrzeba nie raz szukać w błocie jak konchy z perłą, a jeżeli ludzie na jéj rękach błoto obaczą, wydają zaraz wyrok nielitościwy!... Oni myślą, że kobieta tylko dla błota tam poszła... Ileż to zaparcia się potrzeba w takim razie, jakiéj potęgi pragnienia tego ideału, aby odwagi nie stracić! A jeśli złudzona fałszywym blaskiem kobieta, zamiast perły na dnie mętnéj wody pochwyci jaki płaz podły, który się jéj ręki uczepi, czyż wtedy odrzucając go i sięgając powtórnie, ma być skazaną na wieczne milczenie dla tego, że się dała fałszywym blaskiem złudzić. Czyż przeto utraciła prawo już do szukania i pragnienia ideału którego jeszcze nie znalazła?...

Podkomorzyc słuchał pułkownikowę z pewnem zadowoleniem. Była to mowa kobiety, która wychodzi po za konwencyonalne granice salonu. Jakiekolwiek ono było, ale było życie, była namiętność. Ozwał się z uśmiechem.

— Ze słów pani mogę wnosić, że w tych pięknych obrazach o życiu i walce kobiety, mam niejaką rolę. Nie wiem tylko, czy sięgając do mętnéj wody wyjęłaś pani perłę, czy jaki płaz pospolity...

Pułkownikowa wstała, stanęła przed podkomorzycem z założonemi rękoma i rzekła:

— Ponieważ pan sam rzecz wypowiedziałeś, to muszę ją tylko uzupełnić. Prawda, że byłeś pan celem długich moich marzeń... prawda, że widziałam w panu ten ideał, za który kobieta życie poświęcić może... prawda, że marzenia moje kosztowały mi wiele łez i nocy bezsennych... ale pan nielitościwie zdzierasz mi moją ułudę, odbierasz mi na zawsze wiarę w świat i ludzi... a wtedy z boleścią serca wołam: to nie perła!

Rzekłszy to błysnęła łzami, wykręciła się jak błyskawica i głośno szlochając, wpadła do drugiego pokoju.

Podkomorzyca zaniepokoiła ta scena, obawiał się o pułkownikowę. Wszedł za nią do pokoju.

Pokój ten był urządzony z luksusem wschodnim. Perski kobierzec zakrywał całą podłogę. Pod ścianą stała duża otomana z miękkiéj, jedwabnéj materyi. U pułapu wisiała różowa lampka, misternéj roboty, z któréj na cały pokój płynęło słabe, czerwonawe światełko, jakby brzask różowéj jutrzenki...

Na otomanę z miękkiego jedwabiu rzuciła się nieszczęśliwa kobieta i ukryła twarz w puchowe poduszki... Jéj biała szata rozpostarła się szeroko po otomanie i odsłoniła nader malowniczo jedną nóżkę, która dziwnie różowym blaskiem świeciła przez przezroczystą, ażurową tkaninę...

Podkomorzyc zaczął coś mówić... błagać... pułkownikowa nie słyszała... miękkie poduszki zasłoniły jéj uszy... pochylił się nad nią, podwoił swoje prośby, aby go słuchała... wreszcie ukląkł, aby jéj do samego ucha powiedzieć...

I zdawało mu się, że w téj chwili zapomniał o swojem nieznośnem ubóstwie, tak rażąco przez szambelanowę wypowiedzianem... zapomniał o wszystkich swoich

zawodach w życiu... i chciał aby ich już żadnych nie było!...

W téj chwili właśnie, przechodził ulicę Miodową okryty czarnym płaszczem mężczyzna, a widząc światło w salonie i w pokoju przybocznym, wyjął z kieszeni zegarek i przycisnął sprężynę.

Zegarek wybił godzinę drugą. Mężczyzna zatarł ręce i z pewnem zadowoleniem poszedł daléj.

CAŁUS-PIOSENKA.

Piękne dni wiosny pełne uroku,
Piękna błękitu dal:
Ale piękniejszy błękit w jéj oku!
W niem widać jasno jakby w potoku:
Duszę namiętną
Co każde tętno,
Wzrusza na roskosz i żal.

Wznoszą się szybko fale strumienia,
Gdy po nich łódka mknie:
Lecz szybciéj wznoszą jéj pierś westchnienia:
Gdy w czarodziejskie wpadnie rojenia,
Duma i marzy,
A łzy po twarzy,
Spadają w krople dwie.

Piękna jest barwa krasnych korali,
Lecz gdzież w ich ognia znak?
Jéj pocałunek roskoszą pali,
Jéj usta mają barwę korali:
Ust jéj dotykam,
Całus połykam.
Ach jeszcze, jeszcze tak.

Pieśni! w ostatniéj życia godzinie
Takim wspomnieniem graj!
Luba niech wtedy Twa postać spłynie,
Niech me stygnące piersi owinie!
I czarująca,
Na sen bezkońca,
Taki mi całus daj!

?—

DUMKA.

(Do ryciny Głód.)

Pod mogiłą długie noce
Duma z wichrem młodę Lasze,
A gdy w słuchu załopoce,
Zważa czy nie jego ptasze,
Czy nie orle to klekoce?
Czy mogiła to nie jękła?
Czy nie szabla brzękła?

Ziemia Lacka nie zapości,
My jéj zawsze krwi ucedzim,
Krwią częstujem lichych gości;
Héj! a komu na kark wjedziem
Niech naszego kruka pyta
O swe ślepie, o jelita,
A wichrów o kości!

A wy! a wy, kości nasze!
Co to w stepie was wykładło?
Orli rodzie! plemię Lasze!
Co ci to tak ciężko padło?
Dzieci! dzieci! smutna sława,
Dola krwawa i pieśń łzawa
Oto dzieje wasze.

W. Pol.

Stanisław Moniuszko.

(Dokończenie.)

Pomówmy teraz o rozwoju talentu mistrza naszego. Wrażenia z wieku dziecęcego przez czas życ'a całego jemu towarzyszyły. Z obrazów kreślonych przez ojca wyrodziła się siła, zamaszystość, butność, świetność; z pieśni matki prostota, tkliwość, serdeczność, smętność, śpiewność, zalety, któremi wszystkie twory Moniuszki jaśnieją — wreszcie sumienne studyum pod sterem wybornych nauczycieli, wyrobiło w nim pewność, poprawność i dojrzałość. Skutkiem tych wszystkich zalet, które się zgodnie bardzo w całość łączą, muzyka Moniuszki zarówno na serce jak i na umysł odziaływa — wzgląd ważny o tyle, że dotąd kompozycye naszych mistrzów z wyjątkiem Szopena, połowiczną dążnością się odznaczały. Tworzono melodye bez względu na udatność harmonii, zkąd mnóstwo pieśni z towarzyszeniem tak zwanem katarynkowem, jednostajném, nużącem, albo w braku pomysłów, kompozytor dawał nam muzykę architektoniczną, sztywną, opartą na pracy tematycznéj a pozbawioną wszelkiego uroku melodyi. A przecież melodya i harmonia powinny stanowić całość, w dwóch tych żywiołach istnieć powinna równowaga uczuć i myśli. Muzyka Szopena była nam kiedyś nowością w obu wyżéj wymienionych względach. Z wielu jego utworów przebija nie tylko melodya, lecz i harmonia powiemy narodowa. Naród bowiem każdy ma swoje właściwości i nikt nam niezaprzeczy, że w łonie ludu spoczywa pewna harmonia, która pieśniom jego tem większego udziela piękna i czyni je całkiem odrębnemi. Zkądże by bowiem Szopen był wpadł na tak oryginalne pomysły? Wtajemniczenie się w ducha piosnek, dozwoliło mu zawsze pomyślnie odgadnąć i rozwinąć tajemnicę. Muzyka nasza, pieśni nasze (nie wyklucza-



Głód

jąc kościelnych) rozwijające się na podstawie rytmów tanecznych, uszlachetnione coraz bardziéj, a zawsze nie tracące odrębnéj wydatności swéj, po któréj cudzoziemcy od razu poznają muzykę polską, nie mało stawiają trudności kompozytorowi dzieł większych, z powodu rytmu narodowego, owéj najwięcéj zmysłowéj i uderzającéj muzyki, i nie zawsze i wszędzie służącéj kompozytorowi z dobrym skutkiem. Wynagrodził nas w tem Moniuszko sowicie, bo obierając do oper swych rytmy i formy taneczne, wywiązał się po mistrzowsku z zadania i zwalczył wszelkie nastręczające się trudności. Jego posuwiste i zamaszyste polonezy, w których snadź najwięcéj znajduje upodobania, są znakomite, pełne wzniosłéj butności, co do wartości równające się fortepianowym Szopena, jego dziarskie mazury tak udatne i ponętne, że serce niemal podskoczyćby pragnęło, jego krakowiaki tak różnobarwne a orzeźwiające fantazyę, jego dumki tak smętne i rzewne, że serce słuchacza smuci się i tęskni razem z sercem mistrza. Mimowolnie uczuwamy jakieś szczególne zadowolenie, jakąś błogość słuchając tych utworów. Wśród bogactwa pomysłów, świeżości melodyi, rozmaitości figur muzycznych, bujnéj instrumentacyi z przedziwnym kolorytem instrumentalnego tonu, wszystko wysnute jak najswobodniéj, zużyte z niezrównaną twórczością a zawsze muzyka tak swojska, tak nasza, że od razu nas z sercem wieszcza łączy. Podnieść nam daléj wypada deklamacyę, czyli raczéj władanie tekstem, w czém Moniuszko bez wątpienia dotąd u nas jest jedynym. Z estetycznéj bowiem natury muzyki dwa wynikają przedewszystkiem żywioły, liryczny, nadający natchnieniem peryodowi okrągłość, następnie deklamatorski, odnośnie do szczegółów uwydatniających się. Oba te żywioły zlewać się winny w całość, niezdradzającą przewagi jednego z dwóch, tak że każdy z nich osobno użyty jest albo za słaby i mdły, (liryczny) albo za ostry sztywny (deklamatorski). Ztąd też wynika, że Włosi hołdujący przeważnie namiętności, pozostali lirykami, poprzestając na okrągłości peryodu, podczas gdy Niemcy, u których myśl przeważa, są deklamatorami, pozbawiając dzieła wszelkiego uroku śpiewnego. Nie z innych też powodów, muzyka pierwszych i drugich w części nas tylko zadawalnia, bo z zaletami połowicznemi chwilowo nas w zachwyt wprawia, a zdolna nas w krótkim czasie znużyć. Moniuszko stanął na drodze średniéj, najtrudniejszéj i dostarczył nam wzorów, których żaden naród by się nie powstydził. Deklamacya jego wszędzie wyborna i samoistna Zasługi jego w wyborze tekstów, również nieocenione. Moniuszko jest jedynym przedstawicielem poezyi Mickiewicza w szacie muzycznéj, do których bezwątpienia mistrza potrzeba. Kto zna nieco zasady prozodyi a zważy nadto, że im poezya bujniejszą, w obrazy obfitsza, tem trudności kompozytorskie znaczniejsze, ten wartość utworów Moniuszki lepiéj pozna i oceni. Nawet trzynastozgłoskowy wiersz Sonetów krymskich Mickiewicza, z powodzeniem był przez Moniuszkę zastósowany w muzyce. Komuż nie znana muzyka do Ballad Mickiewicza? — jeśli Niemcy podnoszą zasługi Löwego, twórcy ballad my tem bardziéj Moniuszkę uwielbiać winniśmy, bo namprócz ballad, stworzył dział muzyki koncertowéj.

W muzyce Moniuszki prócz tych zalet znajdujemy malowniczość, odnośnie do sytuacyi. Wspomnim tutaj tylko, naśladowanie poświstu wiatru (Dziady), burzy, (Sonety) szczebiotliwości dziewczyn i ziewania (Straszny dwór, akt 2), zadanie kompozytorskie nie łatwe, a oddane z wszelką miarą i godnością.

W towarzyszeniu, we wstępach, przegrywkach góruje Moniuszko nad wszystkimi innymi kompozytorami naszymi. Tyle w nich oryginalności, wdzięku, urozmaicenia, modulacya tak obfita, że ucho nawet wprawnego słuchacza bodaj od razu schwycić potrafi wszelkie zalety dzieła i wydać sąd pewny o niem. Znajdziesz tam nieraz kilka kapryśnych akordów, towarzyszenie nieco zawiłe, tony na pozór rażące a pełne humorystyki, przejmi się treścią całości, a bodaj w czemkolwiek dopatrzysz się przesady lub trudu inwencyi, a poznasz nadto w najskromniejszéj piosence wytrawną rutynę mistrza we władaniu, czy to głosem ludzkim, czy też instrumentem.

Zaprzeczyć nie możem, że zacząwszy od dzieł pierwszych, w których Moniuszko już okazał się nie pospolitym artystą, a skończywszy na ostatnich, postęp nie mały dostrzedz można. Znakomitą jest n. p. uwertura do Halki, muzyka do Dziadów, uwertura do Parii, muzyka do Sonetów, które bez wątpienia najlepszy postępowéj pracy na korzyść autora podają dowód. Wyliczać piękności, rozbierać pojedyńcze dzieła nie tutaj miejsce, wspominamy tylko, że Moniuszkę wśród ogólnego uznania liczne przecież spotykały zarzuty ze strony krytyków, czy z powołania lub też z rzemiosła nam nie wiadomo. Jedni kompozytorowi radzili jechać do Włoch, bodaj nie na to, by się wieszcz czczym stał lirykiem, inni znów ganili instrumentacyę, lub towarzyszenie zbyt bogate, przygłuszające śpiew, inni wreszcie w dziełach Moniuszki jakichś wpływów muzy Mendelsohna lub Szumana dopatrywali. Wzgląd ostatni jednakże w obec przeliczne idei własnych, jakie autor wyłonił, jest błahym. Czyż zresztą w dziełach Mozarta okresu pierwszego nie przebija Hayden, w Beethovena Mozat i t. p. Wpływy te właśnie stanowią łączność epok, a geniusze są jakby ogniwa nierozdzielne jednego łańcucha, który nam wyobraża muzykę od początku do dni naszych w ciągłym rozwoju. My z radością każde dzieło Moniuszki witamy, pragnąc z serca coraz pomyślniejszych stósunków muzycznych, któreby dozwoliły mistrzowi jak najdłużéj i najskuteczniéj ziemię rodzinną podobnemi jak dotąd tworami obdarzać.

W końcu z żalem zaznaczyć nam wypada, że Wielkopolska w poznawaniu i przyswajaniu sobie dzieł rodzinnych szczególną odznacza się obojętnością, zwłaszcza w ostatnich lat dziesiątku. Jakkolwiek może niemniéj muzyki w domach, w miejscach publicznych usłyszym tutaj niż gdziekolwiek indziéj, a pomimo tego, utwory Stanisława Moniuszki z wyjątkiem bardzo wielkim, są publiczności naszéj prawie całkiem obce. Powody owego niezaciekawienia się najmniéj chcielibyśmy widzieć w braku poczucia lub zamiłowania. Jest to raczéj wyjątkowe położenie, w jakiem się znajdujemy. Jednak pomimo tego, ono tylko w części grzech ten usprawiedliwia. Wielkopolska nie posiadała dotąd księgarni muzycznéj, któraby jedynie przedsięwzięła rozkrzewianie utworów polskich. Publiczność nasza od lat przeszło 15 spieszy do księgarni nakładowéj obcéj która w celu zysku większego darzy ją, powiem krótko, chwastem muzycznym, a w razie wyraźnych żądań odpowiada odmownie, nie starając się niedostatkowi zapobiegać. Publiczność tak dalece pozwala nad sobą zapanować, że przyjmuje przedruki pieśni polskich z dziwacznemi tytułami i błędami niegodziwemi, z tłómaczeniem niemieckiem i t. p. przyjmuje nawet utwory Niemców z nazwiskiem spolszczonem*) kupuje, rozpływa się, a gdy Polak Szumanna wydał pod mianem Szumanowski, poniósłby bezwątpienia straty nie powrotne.

Te ulubione kompozycye fortepianowe i śpiewy nie trudno byłoby z katalogu wyliczyć, a zawsze one smutne wywołują wspomnienia i przykro na nas oddziaływają. Czyż nie czas byłby wytępiać ów chwast, w obec rozbudzającego się przekonania potrzeby muzyki narodowéj. Niechże łaskawy czytelnik pospieszy do księgarni muzycznéj Leitgebra, od 3 lat istniejącéj, niech przejrzy n. p zasób pieśni polskich, a nie będzie nam się nigdy tłómaczył tem, że pięknych pieśni polskich tak

*) Reszewski (zamiast Ressel). Marsz pogrzebowy na pamiątkę zg. Mikołaj. cesarz. w r. 63 wydany z obwódką żałobną! zapewne dla większego zysku.

mało — niechaj sięgnie po śpiewnik domowy Stanisława Moniuszki jeden lub drugi, a będzie to najskuteczniejszem lekarstwem na ową nieszczęsną manię, lub skłonność do pieśni włoskich, niemieckich, nawet francuzkich, których patentem wartości niestety nie kompozytor, lecz to: że włoska pieśń i t p. Jak gdyby i Włosi nie posiadali zastępu kompozytorów tuzinkowych. W śpiewnikach Moniuszki, w operach, w kompozycyach fortepianowych znajdziem repetoar tak obfity, że wystarczy on nie dla je nego tylko — znajdziemy wybór pieśni i łatwych i trudnych, smętnych i wesołych, czego tylko serce zapragnie. Rodzicom. nauczycielom, od których wiele bardzo zależy, przypominamy, że w Warszawie przed kilku laty zrobiono odezwę zachęcającą i wielce prze onywającą o potrzebie używania przeważnie kompozycyi narodowych w czasie kształcenia. Nie wyklucza ono wzorów obcych, przeważnie jednak na utwory narodowe naciskkładzie. Dla czegożbyśmy nie mieli w miejsce Vossow, Löschhornów, Laibachów itd. prac szablonowych, obrać rodzinne narodowe Moniuszki w przekładach Łodwigowskiego, E Kani, Nowakowskiego, Krzyżanowskiego, Tausiga i innych? Dosyć posiadamy własnych rzeczy, kto szuka, znajdzie bez trudu. Następnie życzyćby należało, aby muzykalna publiczność, nauczyciele, księża i t. d. zwrócicili uwagę i dbałość na śpiew szkólny i na muzykę kościelną, bo prócz muzyki domowéj, one są podstawą ogólnéj muzyki. Wszakże muzyka kościelna kolebką jest muzyki dramatycznéj!

Oby te słów kilka znalazły u jednéj części publiczności naszéj poparcie, u drugiéj — muzykalnéj — szlachetne zastósowanie!

ROZMAITOŚCI.

Przegląd zabaw, muzyki, teatru i malarstwa.

(Dalszy ciąg.)

Zaledwo marcowe słonko oddało nam pierwszą wizytę, zaczynamy powoli z domów wychylać się, szukać téj wielkiéj książki, którą natnrą nazywamy... książki zawsze otwartéj, zawsze pouczającéj i zawsze zachwycającéj. Pomimo, że zima uporczywie chce nas białą swą togą przykryć, pomimo że natura jeszcze w uśpieniu, lecz już zazdrośna wiosna pracuje nad wydobyciem skarbów ze swego łona. Kwietniowe słonko kokieteryjnie już się do nas uśmiecha. Nie jest to jeszcze wiosna, ale i nie zima.

Drzewa nie okryte jeszcze liśćmi, ale już gałązki ich rumienić się zaczynają, i tylko oczekują cieplejszego tchnienia, aby różową szatę na szmaragdową zmienić. Rzeki zrzuciły z siebie twardą skorupę, a biedne barki, ściśnięte wczoraj opaską z lodu, jutro powitają wesołych flisaków i pomkną szybko, o białych skrzydłach, po błękitnéj Warcie, z dwóch stron ubranéj zieloną girlandą. Wkrótce do pracy natury, człowiek doda swoją. Pola, góry i rzeki tą pracą ożywią się. Serce żywiéj zabije uczuciem miłości dla pięknego świata.. uczuciem niewytłómaczonéj tęsknoty za .. niewytłómaczonym ideałem! Te dwa uczucia, jak wieszcz nasz powiedział, to nie odłączne prządki naszego żywota..

Wczoraj zachwycaliśmy się sztuką, dziś ku naturze oczy zwracamy. Pomimo tego zwrotu, nie odrzeczy będzie zapisać w kronice mroźnego sezonu, cośmy dla téj sztuki zrobili i cośmy z niéj skorzystali. Zaczynam od muzyki, bo miłość dla niéj jest najpowszechniejszą i wrażenia najprzystępniejsze. Zamiłowanie do muzyki z natury człowieka płynie, edukacya zaś to zamiłowanie wzmaga. Zdarzają się wprawdzie wyjątki odznaczające się obojętnością a nawet wstrętem dla niéj, lecz są to jak Sokrates, Platon a z późniejszych Szekspir powiedział, indywidua z organizacyą nie doskonałą. Nie ma reguł bez wyjątku. Znajdują się i między usposobieniami ludzi wyjątki, nie dające się wyrozumować ani wytłómaczyć żadném uznanem prawidlem. Według zdania jednego ze starożytnych mędrców, wszysto co należało do ukształcenia umysłowego, nazywało się muzyką. Poezya, wymowa i filozofia składały harmonijną całość tych intellektualnych ćwiczeń. I dziś znaczenie jéj w ucywilizowanym świecie nie tylko nie zmniejszyło się, ale nawet zwiększyło. Słowem dotknąwszy któréjkolwiek bądź epoki cywilizowanych narodów, wszędzie widzimy muzykę jako jedną z najszczytniejszych ich przewodniczek.

Jakkolwiek i w dawnych czasach polska nigdy obojętną dla muzyki nie była, prawdziwy jednak wzrost jéj można liczyć od czasu istnienia pierwszego konserwotorium w Warszawie, któreżałożone było pod Dyrekcyą Soliwy, później Elsnera i Kurpińskiego. Szkoła ta wydała wielu znakomitych artystów, między któremi Szopen, Dobrzyński, Dobrski, Sowiński, najpierwsze trzymają miejsce. Reszta a większa część naszych wirtuozów i kompozytorów kształciła się za granicą. Konserwatoryum upadło... po upadku zaś, jak zwykle bywa, długa nastała cisza. Dopiero przed dwunastu laty ofiarami całego kr ju i staraniem Apolinarego Kątskiego, założono w Warszawie Instytut Muzyczny, który dotąd stósunkowo więcéj zdolnych nauczycieli i organistów, niż artystów wydał.

Pomimo tych niezbyt obfitych w skutki usiłowań prowincyi po za kordonowéj, zaprzeczyć nie można, że jedynie prawie Królestwo z Litwą piastują i podtrzymują dotąd ten dz ał sztuki narodowéj. Kraków i Lwów jeżeli w tym względzie co zrobił, to tak nie wiele, że wspomnienia nie uważam za godne. A Poznań? Poznań niestety od niepamiętnych czasów zdaje się zamknął wszystkie komórki serca, z których i do których muzyka przemawia Przyczyny tego nie umiem sobie wytłómaczyć. Nie brak nam tu na kierownikach umiejętnych i utalentowanych, że wymienię tylko imiona pp. Herza, Greckiego, Dembińskiego, Wodpola i Studniarskiego, ale wszystko to nie jest wstanie rozniecić téj iskry, którą bezwątpienia Opatrzność porówno z innemi i nas obdarzyła. Być może, że w części wina tego leży w nieszczęśliwych stósunkach naszych, w stósunkach zmuszających zwracać całe zasoby sił duchowych na zdobycz potrzeb materyalnych. Bolesławita w ostatnich rachunkach mówi, że kraj będący w położeniu podobnem j k Księstwo, kiedy mu chodzi o zdobycie gruntu pod nogami, więcéj się cieszy przybyciem jednéj firmy polskiéj, niż najpowabniejszym utworom sztuki. Prawda — ale czyżby ta walka tak dalece siły nasze z absorbować miała, że po zanią nie zostaje już nic. czembyśmy inne naturalne potrzeby duszy, choć w części zaspokoić mieli? Taka niewypłacalność (że się po bankiersku wyrażę) jednéj z potrzeb duchowych, świadczyłaby o naszem bankructwie. Nie — w tem rozpaczliwem położeniu jeszcze nie jesteśmy. Od pewnego czasu przy budzeniu się ogólnego ruchu i ruch muzykalny budzić się zaczyna, a jako poparcie twierdzenia mego stawiam stowarzyszenie muzykalne, Goplana, Harmonia, Chóry Przemysłowców i Koncerty amatorskie. Stowarzyszenia te są jeszcze w pieluchach i dotąd niczem o życiu swojem nie zamanifestowały, niemniéj jednak dają dowód, że materyału muzykalnego nam nie brak i byle tylko nieco więcéj gorliwości, pożądanych skutków można być pewnym. Na pierwszorzędnych wzoracn Poznaniowi nie zbywa. Ruch artystów w Poznaniu, jeżeli nie równa się większym stolicami, to bezwątpienia nie wiele niżéj od nich stoi. Ubiegający sezon zimowy przedstawia cały szereg koncertów, których nawet pierwszorzędne stolice wstydzić się nie miałyby potrzeby.

Szereg takowych rozpoczął p. Szarwenka, uczeń T. Kulacka, podobno z urodzenia Poznańczyk. Gra jego prócz wyrobionéj techniki i siły nie posiada ani ognia ani prawdziwego uczucia. Publiczność i krytyka poznańska przyjęła go zimno, tembardziéj, że już się jéj uśmiechał w bliskiéj przyszłości koncert utalentowanéj artystki z Berlina, panny Holländer. Według zdania znawców, dysponuje ona skończoną techniką, gra z uczuciem i gracyą. Już zdecydowany talent, pomimo wieku młodego artystki, wróży jéj nie pospolitą przyszłość.

Kwartek Florentyński z przewódzcą swoim Janem Beckerem i tego roku do nas zawitał. Rzadki to wypadek nabyć w kwartecie tyle wprawy, aby z tak substelnem wykończeniem jak kwartet Beckera, oddać trudne kompozycye Beethovena, Cherubiniego i Szumana. Słusznie też Niemcy uważają kwartet Beckera za najpierwszy w Niemczech. Dobrze byłoby żeby i amatorzy poznańscy pobróbowali sił swoich w podobnych kwartetach. Jeżeli wykonanie amatorów nie wyrównałoby kwartetom artystów, nie mniéj jednak dałoby możność publiczności przyjemnéj rozrywki i wpłynęło nie mało na rozwinięcie budzącego się poczucia muzykalnego w Poznaniu.

Mówiąc o kompletach muzycznych przychodzi mi myśl stworzenia orkiestry polskiéj, któréj dotąd w całém Księstwie nieposiadamy. Byle tylko znalazł się człowiek odpowiednio usposobiony i przedsiębiorczy, urzeczywistnienie téj myśli nie byłoby trudném. Już jeżeli nie prowincya, to sam Poznań, bez wysilenia mógłby orkiestrę podobną zająć i utrzymać. Zimowy sezon z teatrem, balami i z akopaniamentem orkiestrowym do koncertów, bezwątpienia koszta utrzymania sowicie pokryłby. Pora wiosenna i latowa dałaby możność urządzenia w jednym z ogródków Poznania, poranków muzykalnych i koncertów wieczorami. Nie jeden używający rannych spacerów, lub pijący wody, chętnie poświęciłby drobny wydatek, wiedząc że godzinny lub dwugodzinny spacer, uprzyjemniony będzie muzyką i towarzystwem. — A wieczorami po ukończeniu prac dziennych, kiedy dotąd publiczność nasza, szukając chłodu i rozrywki, rostrzeliwała się po lu-

dowych, teatralnych i dworcowych ogródkach, przy koncertach orkiestry polskiéj, miałaby ognisko towarzyskiego ruchu, a przytem nierównie przyjemniejszą i pożyteczniejszą rozrywkę. Rzucam tę myśl, może też kto z umiejętnych i przedsiębiorczych ją podejmie i w życie wprowadzi. (C. d. n.)

Ustawy

Towarzystwa Pomocy Naukowéj

dla

Dziewcząt Polskich.

I. Cel Towarzystwa.

§. 1. Celem Towarzystwa jest zbierać przez dobrowolne składki fundusze na pomoc naukową dla dziewcząt polskich, urodzonych w Prusiech, Poznańskiem i Szląsku.

§. 2. Z zebranych funduszy udziela się w miarę dochodów wsparcie w pieniądzach, książkach lub narzędziach, używanych przy zatrudnieniach kobiecych, dziewczętom kształcącym się:

a) w gospodarstwie kobiecem wiejskiem i miejskiem;
b) w zawodach przemysłowych i artystycznych przystępnych płci żeńskiéj; jako to szyciu i krawieczczyznie, rachunkowości kupieckiéj, rysunku technicznym, malarstwie, muzyce i t. d. i t. d;
c) na kierowniczki ochron i nauczycielki.

II. Warunki wsparcia.

§. 3. Uczennica zgłaszająca się o wsparcie powinna, na żądanie Dyrekcyi, dostawić dowód ubóstwa od władzy miejscowéj, zaświadczenie o postępach szkólnych od władzy szkólnej, i świadectwo o moralnem prowadzeniu się od osoby zasługującéj na wiarę publiczną.

§. 4. Pobierająca wsparcie uczennica winna co pół roku nadesłać Dyrekcyi wypracowanie w języku polskim.

§. 5. Wsparcie może być każdego czasu cofnięte, skoro uczennica pod względem naukowym lub moralnym nie odpowie wymaganiom Towarzystwa, albo skoro fundusze Towarzystwa na dalsze udzielanie wsparcia nie starczą. Dyrekcya nie jest obowiązaną podawać powodów odmówienia lub cofnięcia wsparcia.

III. O członkach Towarzystwa.

§. 6. Członkiem Towarzystwa może być każda osoba, tak mężczyzna jak kobieta, która zobowiąże się składać corocznie dowolną, lecz stałą, składkę na cele Towarzystwa.

§. 7. Składkę roczną przesyłają członkowie na ręce Głównego Kasyera Towarzystwa przez asygnacyę pocztową (Postanweisung) na której także o przystąpieniu swojem do Towarzystwa donieść można, wypisując na kuponie imię i nazwisko wraz z miejscem zamieszkania. Składkę roczną opłaca się 2 stycznia; wszelako wolno podzielić ją sobie na dwie raty, płatne 2 stycznia i 2 lipca.

§ 8. Członek chcący zmienić wysokość deklarowanéj składki rocznéj, jako też chcący wystąpić z Towarzystwa, winien o tém donieść na piśmie Kasyerowi Głównemu. Zalegający z składkami lat dwa mogą być wykluczeni z Towarzystwa.

IV. O walnem zebranui.

§ 9. Walne zebranie członków Towarzystwa zbiera się raz do roku, w lutym lub w marcu.

Nadzwyczajne Walne Zebranie może być zwołane przez Prezesa Towarzystwa, skoro tenże uzna tego potrzebę, lub skoro 20 członków z wyrażeniem powodów tego żąda.

§ 10. Walne Zebranie obiera sobie większością głosów przewodniczącego. Wszelkie uchwały stanowi Zebranie Walne większością głosów; wszakże uchwała dotycząca zmiany statutów potrzebuje większości $^2/_3$ obecnych na Walnem Zebraniu członków,

V. O Dyrekcyi.

§ 11. Walne Zebranie wybiera Dyrekcyę składającą się z 7 członków. Do Dyrekcyi mogą należeć tak kobiety jak mężczyzni. Dyrekcya wybiera z pomiędzy siebie prezesa, i zastępcę jego, oraz ustanawia sekretarza, który pełni załazem obowiąski głównego kasyera. Dyrekcya obiera się na trzy lata. Do czasu pierwszego Walnego Zebrania obowiązki Dyrekcyi pełni Komitet Tymczasowy.

§ 12. Posiedzenia Dyrekcyi odbywają się najmniéj dwa razy do roku. Prócz tego wolno jest Prezesowi zwołać posiedzenie każdego czasu, skoro uzna tego potrzebę.

§ 13. Na posiedzeniach Dyrekcyi rozstrzyga większość głosów; w razie równości głosów decyduje głos prezydującego; trzech członków stanowi komplet.

§ 14. Główny Kasyer, będący zarazem Sekretarzem, winien mieszkać w Toruniu, gdzie jest tymczasowa siedziba Towarzystwa. Pod jego adresem nadsyłać należy wszelkie listy do Dyrekcyi i do Towarzystwa.

§ 15. Dyrekcya mianuje na prowincyi podskarbich w miarę potrzeby. Obowiązkiem podskarbich jest zbierać składki i starać się o ich pomnożenie, zebrane zaś składki odsyłać do kasyera głównego. Dyrekcyi wolno jest w razie potrzeby wezwać podskarbich na posiedzenie. Urząd podskarbich mogą sprawować tak kobiety jak mężczyzni.

§ 16. Dyrekcya składa na Walnem Zebraniu rachunek z dochodów Towarzystwa, i zdaje sprawę z ogólnéj działalności, oraz stanu i rozwoju stowarzyszenia. Sprawozdanie to coroczne ogłasza się w pismach polskich, a w osobnym oddruku doręcza się każdemu członkowi Towarzystwa.

§ 17. Dyrekcya pośredniczy stypendyatkom, na ich żądanie nie tylko w wyborze szkoły lub zakładu, w których pobierać mogą nauki w § 2 wskazane, lecz także w wyborze pensyonatu, a po ukończeniu edukacyi w wyborze odpowiedniéj posady, jeżeli wychowanka Towarzystwa takowéj poszukuje.

VI. O funduszach Towarzystwa.

§ 18. Fundusze tworzą się przez roczne składki członków, oraz z darów i zapisów na rzecz Towarzystwa uczynionych. i służa celom w § 2 wskazanym.

§ 19. Dyrekcyi wolno część dochodów, mianowicie wpływy z darów i zapisów pochodzące użyć na fundusz rezerwowy, który się utrzymuje w pewnych papierach publicznych.

§ 20. W razie niedopisania, z jakich bądź powodów, składek bieżących, wolno Dyrekcyi przeznaczyć fundusz rezerwowy, w części lub w członści, na dokończenie rozpoczętéj już edukacyi dziewcząt, zasługujących na uwzględnienie tego rodzaju.

VII, Rozwiązanie się Towarzystwa.

§ 21. Towarzystwo rozwiązuje się, skoro na Nadzwyczajnem Walnem Zebraniu, w tym celu zwołanem, trzy czwarte głosów obecnych członków tego zażądają.

§ 22. W razie rozwiązania się Towarzystwa, fundusze jego przekazuje się Towarzystwu Naukowéj Pomocy dla polskiéj młodzieży męzkiéj, lub gdyby to było niemożebne, innéj jakiéj dobroczynnéj instytucyi, na którą większość Walnego Zebrania się zgodzi.

Szarada.

Trzy syllaby — każda nutą — pomyśl hyżéj —
Nie zgadłeś? — otóż — czytaj — co niżéj:
Pierwsza trzecia — żywioł w gniewie.
Druga trzecia — piękne w śpiewie.
Drnga pierwsza — sprzęt ku wygodzie.
Wszyskich — sznkaj w warzywnym ogrodzie!

(Rozwiązanie szarady w numerze 13: ***Pokora.***)

Korespondencya Redakcyi.

Panu Stachur. we Lwowie. Do życzenia Pańskiego niezwłocznie zastosujemy się. Panu Wróbl. w Smog. pod Gołańczą. Za pamięć serdecznie dziękujemy. Panu Karolowi Przeździeckiemu w Nicei. Sonetów p. Faszyny drukować nie możemy. Zaległy numer wysłany będzie. Panu L. M. pod Gnieznem. Pismo Ste. powiedziało, że „wielu jest powołanych, a mało wybranych.“ Panu R. D. pod Bydgoszczą. Żart bez dowcipu, jest chlebem bez soli. Panu X. X. w Wągrówcu. Czy nie lepiéj byłoby do dusze dobrać rym w miéjscu susze, katusze.?